

POŁUDNIE



Powieść
Tomasz Stegliński



POŁUDNIE



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

POŁUDNIE

Tomasz Stegliński

Tomasz Stegliński (ORCID: 0000-0003-3407-0173) – Uniwersytet Łódzki
Wydział Filozoficzno-Historyczny, Instytut Filozofii, Katedra Historii Filozofii
90-131 Łódź, ul. Lindleya 3/5

RECENZENCI

Adam Grzeliński, Marcin Stańczyk

REDAKTORKA INICJUJĄCA

Natasza Grabowiecka

OPRACOWANIE REDAKCYJNE

Aneta Tkaczyk

SKŁAD I ŁAMANIE

AGENT PR

KOREKTA TECHNICZNA

Elżbieta Pich

PROJEKT OKŁADKI

Grzegorz Krzysztof Sufa-Chrostowski

Na okładce wykorzystano fotografię autorstwa Tomasza Steglińskiego

Autor składa serdeczne podziękowania Mecenansom książki:

Appellation Skład Wina i Oliwy, Łódź (Polska)

Catherine Delbos, Nîmes, (Francja)

Krzysztof Robert Golab, Valencia (Hiszpania)

Natalia i Krzysztof Śliwińscy, Sopot, (Polska)

Katarzyna i Jarosław Aranowscy, Rosanów, (Polska)

Nesrine Ferhi, Tipasa, (Algieria)

© Copyright by Tomasz Stegliński, Łódź 2024

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2024

<https://doi.org/10.18778/8331-479-2>

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.11330.24.0.M

Ark. wyd. 41; ark. druk. 51,375

ISBN 978-83-8331-479-2

e-ISBN 978-83-8331-480-8

Dla TINY w Niebie
i ANDALUZA na Ziemi

Spis treści

Część pierwsza. <i>Północ albo STEG</i>	9
Część druga. <i>Południe albo NESRINE</i>	145
Meandry myśli Maríi Zambrano w powieści <i>Południe</i>	785
Podziękowania	819
Bibliografia	821

Część **PIERWSZA**

Północ albo STEG

*Najpierw jest niedowierzenie, które skutecznie barwi
brak wiary w to, co zaszło. Następnie dołącza się smutek,
a dzieje się tak wówczas, kiedy już zrozumiemy,
ale wciąż nie ma naszej zgody. Później jak bluszcz
umacnia się rozpacz oraz bywa, że zakwita nienawiść.
Na koniec zwykła kolej rzeczy przeciwstawia namiętnościom
obowiązki, które trzeba podjąć tak, jakby tamtych uczuć nie było.*

Prolog

Mama zmarła nad ranem 16 listopada i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jedyne godzina jej śmierci pozostawała nieznaną, choć było to bez większego znaczenia, gdyż sam zgon człowieka nigdy nie jest prawdziwym końcem jego oddziaływania na innych. Załatwienie formalności związanych z pochówkiem zajmuje przeciętnie tydzień, natomiast ślady w pamięci mogą być niesione przez kolejne pokolenia, rzadko znikając nagle i bezwiednie. Na domiar wszystkiego w tym przypadku naprawdę wiele zbiegło się w czasie. Pora roku. Śmierć. Wymuszone przez nią działania oraz cała ta krzątanina wydawały się celowo ułożone, napędzając się wzajemnie i przynosząc więcej pęknięć w duszy, niż mogłoby się to zdarzyć latem. Za oknem spadały liście. Nie było słońca. Niebiosy lały łzy na szarą i szklistą ziemię, która przestawała oddychać, dusząc się pod szczelnym naporem wilgoci. Wzorem małych kataklizmów następowało zanikanie większości elementów pejzażu i każda rzecz stawała się brzydka.

Już od dziecka Steg doceniał rangę imprez pogrzebowych przez wzgląd na ich styczność z prawdą na temat życia. Był mężczyzną, któremu minęło w tym miejscu czterdzieści lat owianego smutkiem istnienia. Patrząc przed siebie w głąb niskiego osiedla w kolorze smogu i mgły, czuł się związany z delikatnym lękiem widocznym w zmierzchu i przy chorobie. Zbyt wiele razy rozważał śmierć, w tym oczywiście własną, by dać sobie szansę na odkrycie jasnej strony bytowania, o której również dużo myślał. Kondukty żałobne były tym, co widywał najczęściej. Uznawał je za nieuniknione oraz w jakimś sensie piękne. Dostrzegał je jako zaczynające się w zabawie dzieciństwa, na progu rozświetlonego latem domu, wśród zgiefku i krzyków młodości. Potem zauważył, że ciągnęły się

dalej, na odległość rodzin, zawodów, budowania i scalania na fragmenty rozsypanej codzienności, która nie przewidywała końca. Czas płynął i wreszcie nabierały konkrety, czerniejąc na horyzoncie, aż któregoś dnia kroczyło się w nich w roli świadka lub było wiezionym jako ofiara.

Śluby budziły w nim myśl o kłamstwie, które i tak wyjdzie na jaw. Nie wierzył, że ludzie mogą ustatkować się na poziomie uczuć w ten sposób, żeby to, co robią w ich imię, trwało dłużej niż kilka krótkich lat. Żył w czasach, w których jednoczące najmocniej racje i zasady nikogo już nie obchodziły. Dawniej brały się z religii lub od mitu, ale współcześnie niewielu pociągały. To one, a nie emocje, były w stanie niewidzialną nicią spajać to, co istotne, lecz ta nić się zerwała. Mając tego świadomość na ślub lub zaręczyny nie dawał się zaprosić. Na pogrzeb szedł chętnie, wyszukując wzrokiem otwartej trumny i oburzając się, jeśli w jej miejsce zastawał tylko małą urnę z prochami. Z zaskoczeniem kręcił wtedy głową, wciąż oczekując, że jeszcze nastąpi wniesienie ciała zmarłego. Zdarzało się, iż dopiero pod sam koniec ceremonii orientował się, że czas trumien również minął, a ten puchar, na który patrzył od godziny, zastępował wszystko. Co za zwyczaj! – myślał – pozabawianie się kontaktu ze zwłokami. Niezbliżanie się do nich i niekontemplowanie śmierci w postaci gotowej, niemal żywej. Ta ostatnia była jego zdaniem najważniejsza, skoro przekreślała wszystkie poprzedzające ją wysiłki. Był przekonany, że w ludzkim trwaniu oczekiwanie dotyczy jedynie rozkładu i że spodziewanie się czegoś więcej to skutek braku rozsądku albo wynik optymizmu młodości, która polega na powabie gwałtownych uniesień, lecz nie na myśleniu. Nie budziło to w nim smutku, ale nie pozostawał obojętny. Był rozczarowany brakiem trwałości i to doznanie najlepiej opisywało jego stany po utracie osób lub rzeczy ważnych dla niego. Skruszeje dom, rozpadnie się kontynent, dlaczego zatem ludzie nie mieliby odchodzić od siebie lub od życia, które bardzo pochopnie uważali za dane im na własność.

Ceremonia odbyła się na starym cmentarzu miejskim i nie zgromadziła zbyt wielu osób. Niemal cała rodzina od dawna nie żyła. Pozostali jedynie on i matka, a teraz już tylko on. Stojąc pośrodku zabytkowej kaplicy, do ostatniej chwili wpatrywał się w otuloną aksamitami i drewnianą ramą trumny twarz zmarłej. Pragnął zapamiętać ją właśnie taką, chyba dlatego że rozumiał, iż kolejnych spojrzeń nie będzie. Gromadził je zatem, ale z niechęcią wywołaną nieruchomością zwłok, które nie dysponowały odtąd ani wzrokiem, ani najmniejszym gestem. W sali rozbrzmiewała muzyka, umilając wydarzenie. Odrealniała je i wraz z elementami architektury oraz obrządku nadawała całości powabu, którego brakowało wyłączonej z poruszeń biologii. Właśnie wtedy dotarło do niego, że od dawna oczekiwał tej chwili, gdyż ze światem, w którym żył, łączyła go jedynie więź, jaką syn może mieć z kobietą, która go na niego wydała. Sprawiało to, że latami nabierał cech otoczenia należącego do jednego z rodziców, ojca bowiem nie znał. Nie miał oczywiście ani możliwości, ani pieniędzy, żeby żyć inaczej. Niekompletność ta i inne powodowały, że Steg cierpiał rozmaite deficyty, które z czasem polubił i postrzegał jako wzbogacające go w porównaniu z nudą pełnego dobrych emocji życia, jakie obserwował u innych. Traktowanie wielu spraw jako minionych, w czasie, kiedy jeszcze trwały w najlepsze, wywoływało w nim okaleczenie więzi z tymi, których spotykał, i z tym, co go spotykało. Nawet teraz, kiedy został sam, lepiej odczuwał swe związki ze zmarłą oraz innymi nieobecnymi niż wcześniej. Nareszcie, nie tylko w domyśle, nie istnieli. Uważał, że dzięki zanikowi wszystko dociera do swego celu, stając się dla niego czymś wiadomym i skończonym, kiedy już na pewno był przekonany, że odeszło i może być kultywowane jako ślad jego własnej i tworzącej go pamięci. Rozpamiętywanie stanowiło dla niego rodzaj nawiązanej i nieudawanej bliskości, ponieważ inna relacja, czegokolwiek dotyczyła, musiała nosić cechy większego oddalenia. W ten sposób po swojemu zwalczał wszechobecny rozkład i scalał rzeczywistość w sobie. Czyż nie wspomina się

pod wpływem miłości, najsilniej zaś pod nieobecność? Czy nie znaczy więcej – nie móc przestać myśleć o kimś, niż mieszkać z nim i tylko czasem zwrócić na niego pełną rozdrażnienia uwagę? Tego dnia stanowił jedno z tą, która już nigdy w żaden sposób nie będzie mogła zostać od niego oddzielona. Wiedział też, że dopiero wraz z odejściem osoby, którą żegnał, rozpoczyna się świat należący wyłącznie do niego.

Kiedy wrócił, krótkie godziny jesiennego dnia minęły i nastąpiła noc. Była to ostatnia z tych, które mężczyzna zamierzał spędzić w tym domu i w swoim kraju. W ciągu minionego tygodnia zlecił sprzedaż mieszkania, rozwiązał umowę o pracę, wykonywaną przez większość życia, i wreszcie zaczął pakować się na przyczepkę samochodową, którą, tak jak auto, zakupił dwa dni wcześniej. Najwięcej zabrał książek, choć wiedział, że to zwłaszcza je powinien był porzucić. Zdawał sobie przy tym sprawę, że gdyby to uczynił, mógłby podróżować bez bagażu, bo wszystko inne dałoby się pomieścić w jednej walizce. Większość rzeczy rozdał sąsiadom lub, jeśli nie przedstawiały żadnej wartości, położył obok osiedlowego śmietnika. Tylko niewielka ich część nadal znajdowała się tutaj i mogła się przydać następnym lokatorom. Obserwował je tego dnia, po zachodzie nieobecnego słońca, wodząc po nich wzrokiem, jakby w poszukiwaniu odblasków wcześniejszych przeżyć. Dotyczyły trzech pokoleń jego małej rodziny. Pamiętał dziadków, pamiętał życie matki, ale nie natrafiał na własne, nie mogąc uwolnić się od pustki z tym związanej. Dzięki niej teraz, tu na Północy, kiedy nic nie ciążyło w nim ku miejscu, z którego spoglądał, zaczął przeczuwać związki z samym sobą na wzór ponownych, ale ważniejszych narodzin. Wiedział, że każdy człowiek winien był je sobie przynajmniej jeden raz w życiu. Potrzebował ich zawzięcie i miał wielką nadzieję na stopniowe wysłedzenie swej osoby. By do tego doszło, musiał odszukać tropy, które mogłyby mu to ułatwić, ale nic z tego, co znał dotychczas, nie było w stanie rozwiązać owej zawilej i niepewnej sprawy, jaką był człowiek w nim osadzony.

Nazajutrz nastał kolejny dzień bez światła. Małe sylwetki anonimowych ludzi przemieszczały się za oknem, niczym żywe kreski zrobione ołówkiem na brudnym od błota papierze. Dla nich nic nie miało się zmienić i Steg traktował ich jak tło do mających nastąpić wydarzeń z własnego życia. Należeli do budynków, placów, drzew, ale nie do niego. To prawda, że nie zrobił wiele, aby ich poznać. W zasadzie polegało to na pojedynczości, jaką uprawiał wśród mieszkańców swej dzielnicy i miasta. Tu się urodził. Tu marzył w chłodne lata i tu jako dziecko, gdy siedział skulony w piaskownicy podwórka, wystawiał twarz ku słońcu, zazdrośnie chowanemu przez chmury. Tu pierwszy raz nawiązywał przyjaźnie i tu po raz pierwszy kochał. Żył tu, nie mogąc zdecydować, czy lepiej zostać dobrze znanym sobie tym, kim nie był, czy może zaryzykować spotkanie tego, który nigdy nie istniał i którego mógł się tylko domyślać w swoim pieczołowicie hodowanym roszczeniu.

Mieszkanie znajdowało się wysoko, więc kilkakrotnie schodził na podwórze, nosząc pudła, w których oprócz książek ukrył kilka innych fragmentów dawnego siebie. Wziął ze sobą pościel i umieścił ją we wnętrzu kabiny, tworząc w niej dom, jeszcze mniejszy od tego, który opuszczał. Zdarzało się, że pomiędzy wykonywanymi działaniami zatrzymywał się nagle. Wznosił głowę ku dachom. Omiatał wzrokiem okna, zamknięte i bez widocznych w nich twarzy, jakby należały do niezamieszkanego lub porzuconego posesji. Pragnął zobaczyć w nich znajomych i przyjaciół z dzieciństwa, by uchronić ich oraz siebie przed dalszymi latami zagubienia. Nie panując jednak ani nad emocjami, ani nad czasem, mógł nad tym jedynie zapłakać, świadom tego, że jeśli pozwoli sobie na łyż, lekkość wspomnień zatrzyma go tutaj na zawsze. Trzeźwiał więc i ocierając z twarzy wzruszenie, kończył układanie rzeczy. Klucze, tak jak to ustalili z nowymi właścicielami, wrzucił do skrzynki na listy i rozglądając się po raz ostatni po odrapanej i osmolonej od papierosowego dymu klatce schodowej, zamknął z troską jej drzwi, ratując się przed rezygnacją z podróży dzięki wzrokowi wbitemu teraz w samą ziemię.

Rozdział pierwszy

Jesienią na Północy godziny zmierzchu zapadały niemal tuż po krótkim świcie. Wydobywanie się z miasta zajęło sporo czasu i dopiero poza nim, na wyboistych drogach bez poboczy, stary samochód nabrał tempa, pozwalając na utrzymanie jednej prędkości. Jego spłowiały lakier matowiał i srebrzył się od narastającego mrozu, napinającego całą karoserię jak żywą skórę, miarowo rozcinającą masy twardniejącego powietrza tej pory roku.

Gdy na zewnątrz wszystko umierało w ten sposób, człowiek budził się do życia, którego początek przeczuwał w silnej tęsknocie do światła i gorąca, zdolnych stopić noc. Doświadczał przy tym ekscytacji i nagłego wewnętrznego pośpiechu, pozwalającego mu unikać dawnego przeznaczenia. W zasadzie to wystarczało, ponieważ chodziło o spokój płynący ze świadomości, że z każdym kilometrem porzuca się to, co niechciane. Z drugiej strony dobrze rozumiał, że wszystko, czemu zaprzeczał, było niezwykle z nim powiązane, zdarzało się bowiem, że wiele razy brał to za samego siebie. By przeciwdziałać temu podziałowi, już jako dziecko hipnotyzował się wymyślonym blaskiem i instynktownie dawał się wieść jego nieobecny promieniom. Wiedział, że mroki jesieni nie dotyczą całego kontynentu, a fizyczny ból chłodu i stany ducha, dzięki którym myśl może dręczyć się aż do doskonałości, nie stanowią swoistego bogactwa na całym jego obszarze.

Rozważając podróż, większość uwzględniłaby drogę powrotną. On jednak postanowił jechać tylko w jedną stronę, jakby drogowskaz nakazywał mu podążać ku szukanemu imieniu. Był wdzięczny losowi, że od chwili przyjścia na świat odczuwał niepojętą przynależność do Południa, którego nie znał, a w którego kierunku wyruszało właśnie jego ciało. Po dotarciu na miejsce chciał połączyć je z przebywającą tam jego własną, domniemaną jeszcze, duszą. To życie bez niej poczytywał za największą stratę. Stanowiło ono najdotkliwsze i najbardziej odczuwalne osierocenie

spośród wszystkich, jakich doznał. Można nazwać to brakującym dopełnieniem wyobrażenia o sobie samym. „Mniejsza o to – myślał – czy to jest to, czy może coś więcej, co ma swoją substancję, autonomię i co trwa gdzieś z dala od materii z jej ciężarem i dolegliwościami. Nie ma różnicy, jak się to nazwie, skoro chodzi o przekonanie, które, choćby było zbudowane z rojeń, ma wyrazistość, jakiej nic, co człowieka spotyka, nie jest w stanie zamazać. Posiada ono potężną siłę i jest magnesem, który przyciąga nas przez wszystkie dni naszej egzystencji, jeśli tylko potrafimy zadbać o nie należycie”.

Nie miał precyzyjnego planu podróży. Nie znał trasy, lecz projektował ją sobie. Wiedział na pewno, że chce dotrzeć jak najdalej na Południe, by tam spojrzeć w oczy pejzażu, zmuszając go do odpowiedzi na pytania, które los postawił przed nim w chwili, gdy się urodził. W sprzysiężeniu z leciwą techniką, w blednym świetle wieczoru, wnikając do środka ciemności, patrzył na gasnące powierzchnie pól. Postrzegał je jako przepełnione nieogajającymi się bliznami cierpienia, należącego zarówno do niego, jak i do tych, którzy żyli tu przed nim. Niepewny, ściszony i nieco przestraszony, wracał wzrokiem do wnętrza auta. Zauważył przycisk tempomatu i zaraz potem nastawił go na prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Uznał ją za najlepszą. Miał przed sobą daleką drogę, a porzucając nie tylko swoją ojczyznę, lecz również samego siebie, nie chciał, by działo się to zbyt szybko. Przemieszczanie się w przestrzeni wyznaczanej zmianami krajobrazu miało służyć odnowie, której się spodziewał w sobie. Każdy pokonany odcinek, kraj lub przebyta nie na skrót myśli miały być dla niego tym, czym są dobre uczynki w dochodzeniu do zbawienia, z tą różnicą, że tu czynnikiem sprawczym ocalenia był sam człowiek.

Mijały kolejne godziny. Widok za oknami na stałe posiadał cechy monotonii, która z uwagi na właściwości duszy Stega przywodziła na myśl wysublimowane narzędzie tortur. Składały się

na nie chaotycznie skomponowane domy, bijące brzydotą jak baty. Krzywe chodniki, przewracające pijanych. Zgarbione płoty, podpierające się niewidzialnie w wysileniu między przyszłym upadkiem a dawną strzelistością. Następnie czerń i szarość, farbujące każdy detal i pochłaniające gorzkniejącą od nich myśl, tak bardzo chcącą wolności lub przerożenia w marzenie. Zadziwiało, jak bardzo nikt tu o nic nie dbał, jakby ludzie bali się ostatecznego przystania na realia. Wszystko, co tu żyło, tliło się przekonaniem, że nie ma innej możliwości trwania, niż utrzymywanie się w bezmożności i zawieszeniu, właściwym temu, co milcząco chroniło się przed prawami takiego świata. Dla rozmaitych kształtów tutejszego istnienia różnica między czymś, co stanowiły, a niczym, które można by sobie wyobrazić, była tym, czym one same, tak więc posiadały wszystko. Podobnie też w ludziach pochodzących stąd skutecznie zakorzeniało się następstwo tej nicości, odkładające się w nich niezrozumiałym napięciem i tęsknotą za nie-wiadomo-czym. Każdemu więc chodziło o coś, ale nikt nie miał na to nazwy. Ktoś tutejszy z natury był rozdrażniony, lecz bez dającego się wskazać powodu. Ludzie czegoś chcieli, wciąż coś zmieniali i nie osiąkali żadnych celów, które ratowałyby ich, wyciągając wreszcie z ich na trwałe przejściowego położenia. Większość topiła żal w płynach. Inni niszczyli się na bardziej wyrafinowane sposoby, z których najgorszy polegał na dręczeniu siebie i innych, w imię pretensji na temat wyższych form życia i stawianych sobie, nigdy niezrealizowanych wymagań. Byli i ci, którzy znieczulali się samowolnie i aprobowali działanie na rzecz nicości, coraz to bardziej przyjmując na siebie postać jej właściwą.

Jeśli chodzi o Stega, zaliczał się do niepokodzonych, ale również do tych z niszczącymi pretensjami. Zawsze krążył wokół samobójstwa, tyle że był w tym jak sęp z duszą wróbla, bo nigdy nie zdołał odebrać sobie życia, które zbyt kochał. Wiedział jedynie, że w jego wyjątkowym losie któregoś dnia to ono, a nie śmierć, musi nadejść i że to, co teraz przeżywa, nie jest właściwym życiem.

Dlatego czekał. Prawdę mówiąc, nadzieja, jaką miał, nie sięgała poza czas, ku wieczności, ale za ostygłą linię życia w bezruchu, ku entuzjazmowi. Dla ludzi jego pokroju doświadczane tu powszechnie samotność oraz brak określoności były trudne do zniesienia, ale tylko z ich udziałem mogło dojść do zmiany, gdy wywołały wreszcie zmęczenie i dały zarysować się pierwszym oznakom sprzeciwu.

Od samego początku, to jest od południa, gdy zamknął drzwi pojazdu, mężczyzna postrzegał swe działanie jak walkę o przetrwanie, i to taką, przed którą jego otoczenie z pewnością starałoby się go uchronić. Teraz było ono w nim obecne i było oczywiste, że wciąż do niego przynależał. Skutkowało to tym, że myśląc o sobie, czuł, iż dokonuje czegoś nieuczciwego, to jest poza legalnością, która zawsze kojarzyła mu się z biernością scalającą dowolną społeczność. Wyrывая się z niej, czynił siebie polem zmagania się tego, co naprawdę wewnętrzne, i tego, czym człowiek staje się dzięki narzuconym więzom. W efekcie rozumiał, że im więcej miał w sobie poczucia winy z tym związanego, tym więcej innych mieszkało w nim i tym mniej było tam jego samego. To odczucie przeszłości jako balastu i przyszłości jako niewiadomej odkrywał po raz pierwszy, ponieważ dotychczas całą przyszłość widział jedynie jako funkcję konserwującą to, co wcześniej poznane. Tymczasem wszystko miało się zmienić.

W oddali na horyzoncie jeszcze przez moment o ziemię tarły niskie chmury. Myliły wzrok, nie dając poznać, czy to był dzień, czy noc. Zaczął wiać zimny wiatr, a towarzyszący mu deszcz zamarzał na szybach samochodu. Niektóre z jego kropel przenikały różnymi nieszczelnościami do wnętrza pojazdu, by mieszać się z ciepłymi łzami podróżnego. Materialne kilometry dróg oddalały go od zagłębienia, w którym przyszedł na świat, a on wykradał sobie czemuś bardziej od niego rzeczywistemu, wyczołgując się z tego niczym robak złapany w pułapkę. Jego wzrok mętniał na wzór otaczającego go świata. Zdawało mu się, że dostrzegał go

**Meandry myśli Marii Zambrano
w powieści *Południe***

„Jedynie Chrystus w tragedii naszej tradycji jawi się jako ten, kto wiedział, kim był i po co przyszedł. My, ludzie, nigdy tego nie wiemy i dlatego życie, należące do każdego z nas, jest poszukiwaniem naszego prawdziwego ja. Całe życie, łącznie z tym, co się określa doświadczeniem, to nic innego, jak zdwojony proces usuwania należących do nas licznych ja, nas wyimaginowanych oraz wyjście i wybawienie nas z nicości, by w końcu zdobyć jedność”.

M. Zambrano (*Unamuno*, s. 93)

I. Rok spędzony poza czasem

Zgodnie z myślą hiszpańskiej filozofki Maríi Zambrano¹ prawdę o człowieku, który zawsze jest tym, oto tu, odrębnym bytem, centrum wszechsensu, źródłem emocji, poddanym czemuś, co go przeraża, a zarazem przeraża i fascynuje, wyrażać może tylko to, co nie odnosi się do elementów mu obcych. Do tych ostatnich należałyby wszelkie przypadkowe parametry jego egzystencji, takie jak dany

¹ María Zambrano urodziła się w 1904 roku w Vélez-Málaga jako córka Blasa José Zambrano i Araceli Alarcón. W 1924 roku wyjeżdża do Segowii, gdzie poznaje Antonia Machada i Miguela de Unamuno. W 1921 roku rozpoczyna studia filozoficzne w Madrycie u Ortegi y Gasset, J.M. Garcíi Morentego i Zubiriego. W 1931 zostaje adiunktem w katedrze metafizyki na Uniwersytecie Centralnym. W 1936 odbył się jej ślub z Alfonso Rodríguezem, sekretarzem ambasady Republiki Hiszpańskiej w Santiago de Chile. W roku 1939 udaje się na wygnanie z Hiszpanii. Wykłada na kilku uniwersytetach Ameryki Łacińskiej. Na obczyźnie powstaje wiele jej ważnych książek. W 1981 otrzymuje Nagrodę Księcia Asturii. W roku 1984 wraca do Hiszpanii. W roku 1988 otrzymuje Nagrodę Cervantesa. Umiera w Madrycie w roku 1991, ale zostaje pochowana na cmentarzu w Vélez-Málaga, pod drzewkiem cytrynowym. Na jej nagrobku, zgodnie z jej życzeniem, umieszczono fragment Pieśni nad Pieśniami: „Surge amica mea et veni” („Wstań, przyjaciółko moja i przyjdź”). *Oxford Encyclopedia of Philosophy* określiła ją jako najważniejszą uczoną hiszpańską XX stulecia.

mu konkretny czas jego życia, podobnie też miejsce, obyczaj, religia czy wiedza. Podkreślana przez uczoną konieczność emancypacji człowieka od historii – tak własnej, jak i innych ludzi – jest namową do wyzwolenia go od większości z tego, o czym dowiaduje się on ze źródeł zewnętrznych. W tym znaczeniu osadzenie akcji powieści *Południe* w czasie „kilku trwających rok sekund” jest najmniejszym złem popełnionym wobec jej postulatów, gdyż owe sekundy życia, które są ostatnimi, wyświetlają wszystko, co tylko możliwe o jednostce, która uwalnia się od siebie w postaci dotychczas sobie znanej, ukonstytuowanej przez brak kontaktu z osobą jej właściwą. Czas historyczny i czas dany w przeżyciu wzajemnie sobie przeczą i wykluczają się, pokazując, jak człowiek może różnić się od samego siebie w zależności od perspektywy. *Południe* jest książką o czasie danym w przeżyciu, tak krótkim, jakby stracił związku z czasem w ogóle.

Zdaniem Zambrano, żeby doświadczyć siebie, należy udać się na wygnanie². Bohater *Południa* nie jest typowym wygnańcem, nie tuła się z powodu wojny, prześladowań czy z przyczyn ekonomicznych. Jego los polega na tym, że od życia we wspólnocie, od więzi i od zobowiązań względem innych wypędza go własna śmierć. Przypadek Stega pokazuje, że w większości ludzkich losów zerwanie z historią, w której dokonuje się życie danej postaci, musi przyjąć kształt przerwania życia, jakie wiodła. Tymczasem człowiek tu ukazany nie umie zdobyć się na krok zerwania, nie ma też szczęścia, polegającego na skorzystaniu z okoliczności, które by go do tego skłoniły. Musi umrzeć, żeby nie potrzebował zdobywania się na odwagę porzucenia „siebie, którym nigdy nie był”.

² „Wygnanie, wyobcowując z dotychczasowego życia, odrealnia, wytrąca z uczestnictwa w życiu społecznym, kulturze i historii, ustanawia dystans i pozwala na ich obiektywny osąd. Skazuje także wygnanego na przywilej bycia filozofem – na pozbawiony oparcia w tym, co utracone, wysiłek odzyskania rzeczywistości, obliguje do buntu przeciw niesprawiedliwym zasadom i głoszenia w imieniu ludzkości jego nowych praw”. M. Jagłowski, *Wprowadzenie*, [do:] M. Zambrano, *Agonia Europy*, Warszawa 2014, s. 11 (w przekładzie Marii Fogler).

Hiszpańska intelektualistka w swojej twórczości utożsamiła filozofa z emigrantem. O ile w przykładzie wygnańca politycznego, którym sama była, opuszczenie ojczyzny wyzwalało potrzebę zatarcia cierpienia, o tyle poruszający się z własnej woli podróżny, po porzuceniu kraju, w którym żył na zasadzie uwięzienia, odnajduje wolność nie jako racjonalizację, lecz wielką radość życia, o jakim zawsze myślał. Zrywa zatem nie tylko z własną ojczyzną, ale też z sobą, którego ona wyłoniła, żywiła i torturowała. Oderwany od dotychczasowej tożsamości, po raz pierwszy doznaje kontaktu z sobą aczasowym, takim, jakim musiałby być, gdyby urodził się „w żadnym miejscu, w żadnym czasie, w żadnej kulturze”³. Przedstawia to choćby fragment powieści, w którym bohater rozważa świat zatrzymany, bez dni i nocy, bez uciążliwego migotania, jakie wzbudza w obserwatorze, który chciałby dostrzec coś innego. To właśnie moment poza czasem, poza dynamiką ról społecznych i narzuconych pseudozależności. Aby zamienić emigranta na podróżnego, należy rozważyć fakt, że pierwszy z nich zawsze tęskni za ojczyzną, a drugi niemal nigdy o niej nie myśli ani nie pamięta. Dowolne państwo, które znajdzie się na jego drodze, gdyby tylko było miejscem jego narodzin i zamieszkiwania, nie mogłoby pomóc mu w tym odkryciu. A więc to nie konkretny obszar, ale kraj nieznanany może być przestrzenią bez znamion przestrzenności. W powieści takim miejscem jest wszystko, co znajdujemy poza graniczną rzeką, oddzielającą ojczyznę Stega od ojczyzn pozostałych ludzi. Ponieważ jednak podróżny nigdy realnie nie zatrzymuje się, nie osiedla, nie wiąże, wszędzie napotyka wyłącznie siebie, prowokowanego nieznajomością osób i pejzażu.

³ Zambrano pisała: „Czyżby miał człowiek miejsce, do którego może powrócić ze swej historii? Wszystko przemawia za tym, że szuka on czegoś pozostawionego w tyle i że chce się zanurzyć w jakimś sekretnym miejscu, jak gdyby poszukiwał łona, z którego kiedyś wyszedł, aby zostać na nowo spłodzonym”. Tamże, s. 103.

Poprzez przekroczenie czasu i przestrzeni konkretnej sytuacji zewnętrznej wygnanie nabiera wymiaru transcendencji – zanika poczucie samotnego bytowania w cieniu opuszczenia wobec bezkresnego wymiaru życia, czasu, historii, wobec innych, obcych. Pojawia się akceptacja, owocne doświadczenie losu, albowiem bezmiar tego, co nieznanne, tego, co przeraża samotnego wędrowca, pustynia, horyzont bez granic – przemienia się w nim w przeżycie wewnętrzne, jest samopoznaniem, ową hermeneutyką życia. A wtedy wygnanie nie jest już zesłaniem, skazaniem, ciężarem, lecz finalnie doświadczeniem dobra⁴.

Powyższe słowa opisują intencję filozofowania, które u Zambrano przenosi – dzięki konfrontacji z nieznanym – od tego, co obce, ku znajomości samego siebie. Rozeznanie to jest zresztą jedynym faktycznie nam danym poznaniem, o ile oczywiście wysilimy się, by je zdobyć, a wcześniej, by go zapragnąć. Odrzucenie przez uczoną racjonalizmu w jego postaci zmechanizowanej myśli-tortury, którym racjonalizm stał się (jej zdaniem) od czasu Descartes'a, ma charakter występującego u niej diagnozowania kryzysu kultury europejskiej. Przejawia się on dehumanizacją sfer życia na rzecz jego rentowności, liczonej na skali zysków, jakie przynosi. W powieści początkowo wszystko dehumanizuje, ponieważ to, co znamy pierwotnie, jako nasz los, służy zagłuszaniu w nas samopoznania. Człowiek koncentrujący uwagę na sobie staje się nieprzydatny do zadań, które wyznacza mu społeczeństwo, zwłaszcza totalitarne. Zmylony pseudokoniecznością treści wadliwej socjalizacji, człowiek myśli, że musi być taki, jakim kazano mu być. Ów nakaz zewnętrzny interioryzuje, ufając nieco automatycznie, że dzięki temu jest sobą, że staje się i trwa w wyniku akceptacji woli innych. W *Południu* wysiłki bohatera mają przyczyniać się do jego stopniowego uwalniania się od różnego typu zależności. Zdarza się, że sukces

⁴ J. Wachowska, *María Zambrano, nomadyzm jako przestrzeń wolności*, [w:] *Z myśli hiszpańskiej i iberoamerykańskiej. Filozofia – literatura – mistyka*, red. M. Jagłowski, M. Sepczyńska, Olsztyn 2006, s. 199.

w tej sprawie zależy nie od tego, czy człowiek ma siłę na walkę z wrogim światem, ale czy łaskawość losu zwolniła go z niej.

W jednym z pierwszych akapitów powieści Steg wyjaśnia, że ideał, do którego wszystko zmierza, polega na zaniku, stanowiącym o dopełnieniu się tego, czego odtąd nie ma. Jedyne jego pamięć to konserwuje, stanowiąc wyłączny dowód, że to, o czym pamięta, istniało i że było tym, czym jest teraz rozważający to człowiek. Tak też określa nie tylko stratę rzeczy, ale i śmierć własnej matki. W tym samym duchu Zambrano wskazuje jednocześnie na wątki egzystencjalizmu, przekonującego, że każdy podmiot staje się i osiąga pełnię swego określenia dopiero z chwilą swego końca. Niemal to samo mówi również o odchodzeniu: „odnajdujemy w każdej śmierci bliskiego wiedzę na temat naszej najgłębszej istoty; odnajdujemy pewność”⁵. Określa ona filozofię jako syntezę nie tylko rozproszonego sensu zewnętrznej rzeczywistości, ale także rzeczywistości własnego życia konkretnego filozofa, oraz utożsamia ten proces z wyzwoleniem go od wrogięgo świata⁶. Kluczową rolę przyznaje przy tym literaturze, to ona bowiem utrwała najgłębszą prawdę o rzeczywistości, będąc relacją pisarza na temat tego, co zapamiętał. Szukając tego, co istotne, bohater *Południa* ogłasza na końcu swej drogi, że w jego przypadku tym czymś są pytania, towarzyszące mu od chwili, kiedy pojawił się na świecie, a o których nie zapomniał, co oznacza, że nie utracił siebie. To zaś, co dała sama tak długa droga, sprowadza się do tego, że chociaż znał te pytania od początku, nie mógł zadać ich nikomu i niczemu na „Północy”, z której pochodził⁷.

⁵ M. Zambrano, *Agonia Europy*, s. 38.

⁶ „Tak zwycięska jest ta jednolitość, że aż nas przeraża. Nie może być już jednością życia. Gdzie bowiem jest życie, jest różnorodność, sprzeczność. To, co żywe, osiąga jedność jedynie w śmierci”. Tamże, s. 37.

⁷ Zambrano porusza dwa kluczowe wątki, którym odpowiada ten fragment *Południa*. Po pierwsze, uzależnia jakość kultury od rodzaju bogów, jakimi ona dysponuje – „Kultura zależy od jakości swoich bogów, od sposobu komunikacji, jaką bóstwo przyjęło wobec człowieka, od deklarowanej i ukrytej relacji, od wszystkiego,

„Północ” reprezentuje w książce to, co nie-ludzkie, odbierające wolność i uniemożliwiające wiedzę. Podobnie u Zambrano reprezentację tę odnajdujemy w ucywilizowanym dla zysku świecie. Zdaniem hiszpańskiej intelektualistki era przemysłowa, zamykająca ludzi w zakładach pracy, czyni z nich przedmioty, rodzaj paliwa zużywanego do produkcji, a jej wytwory przytłaczają człowieka nie tylko jako ich wytwórcę, ale w następnym kroku również jako konsumenta i posiadacza. To z pewnością charakteryzuje proces historyczny, zależny od konkretnych zmian i ich skutków w postaci zniewolenia. Między człowiekiem a rzeczami, które nie są przyrodą, rodzi się z czasem więź, będąca właśnie przywiązaniem do rzeczy. Jeśli człowiek jest wytworem tej relacji, przestaje być osobą twórczą, która mogłaby należeć do siebie.

W naszej powieści mamy do czynienia z nauczycielem, a nie przedstawicielem klasy robotniczej czy biznesu. On również jest uwikłany w odhumanizowaną wersję nauki, którą reprezentuje i której służy jako profesjonalista. Ogranicza go polityka edukacyjna totalitarnych władz. Jego zleconym mu odgórnie zadaniem jest oduczanie innych samodzielnego myślenia. Nie godzi się z tym, sabotuje proces dydaktyczny, zmienia jego kierunek. Ocala to, co ludzkie, tylko dlatego, że sam czuje się człowiekiem. Ratując ludzki wymiar szkoły, przenosi w uczniach w kolejne pokolenia humanizm, budując wspólnotę niewierzących szkole. O ile człowiek Zambrano ma wyzwolić się z okowów uprzedmiotowienia, które nie zmienia psychiki, ale ją niszczy, o tyle nauczyciel zmaga się z psychiką zmienianą w narzędzie kłamstwa i propagandy, której polityka wymaga od pracowników szkolnictwa. Ich uczestnictwo wiąże się ze współodpowiedzialnością.

na co pozwala, aby działa się w jego imieniu...”. Taż, *El hombre y lo divino*, Madrid 2023, s. 43. Po drugie, uczona sprowadza sens bycia człowiekiem do możliwości zadawania pytań o samego siebie: „najbardziej ludzkie jest zadawanie pytań [...]” (tamże, s. 52), ale jednocześnie to „pojawienie się bogów oznacza możliwość pytania, pytania wyraźnie niefilozoficznego, jednak bez którego pytanie filozoficzne nie mogłoby się pojawić” (tamże).

Dla hiszpańskiej filozofki wspomniany kryzys kultury odnosi się do tych, którzy mają historię. Brak historii to brak kryzysu, to aczasowość. Historia jest zła, ponieważ doprowadziła do zakleszczenia człowieka w środowisku mu wrogim, jakim jest praca. Historia jest historią pracy, która stała się odpowiedzialna nie tylko za dehumanizację, ale też za eksterminację. Pracujący, żyjąc życiem, które nie należy do nich, stają się rzeczami, więc w głębokim sensie nie istnieją, mimo iż żyją. Problem polega na tym, czy historia zawsze była zła i czy każda praca jest szkodliwa. Zarówno u Zambrano, jak i w naszej powieści wskazuje się na zbawienną aktywność, przypominającą pracę, ale niebędącą jej maszynową i produkcyjną wersją. Tym wysiłkiem jest twórczość. Steg przestaje być urzędnikiem oświaty, ale w miejsce tego przypomina sobie, że jest podróżnym, fotografikiem, malarzem i pisarzem. Nie przestaje używać rozumu, lecz zamienia go w narzędzie artystycznego wyrazu, gdyż każda kreacja angażuje inteligencję.

Człowiek jest w dużej mierze, jak chce Zambrano, wytworem wytworów powstających w rzeczywistości historycznej, ale to nie wszystko. Moim zdaniem okoliczności zniewolenia, o którym mowa, nie stanowią o utracie pełni człowieczeństwa jako odprysku dynamicznych dziejów. Rozumność w ludziach na zawsze pozostaje tym samym obszarem świadomości, dzięki któremu – bez względu na czasy – przysługuje im autonomia i obowiązek oceny zdarzeń. To dzięki niej podmiot nie może być niczym wytworem, a to raczej on sam wytwarza opinię na temat tego, jak dzieje transformowały jego ciało i ciało świata, w którym on żyje. Rzeczy i dzieła, które zaczynają panować nad ich twórcą, czynią go niezdolnym do działania, czymś mniej niż one same. Jednak nie może to dotyczyć prawdziwych artystów i myślicieli. Ani wytwory samej Zambrano, w postaci jej książek, ani utwory jej wielkiego mistrza Ortegi y Gassetta, nie są w stanie im zaszkodzić w powyższym sensie. Problemem – owszem – pozostaje to, czy czas historyczny i czas dany człowiekowi jako takiemu pokrywają się z sobą w całości. W fabule Steg wykrada

siebie czasowi historycznemu, który zawsze był przez niego postrzegany jako czas stracony. Odzyskuje siebie w ucieczce i dopóki ucieka, pozostaje sobą, lekceważąc czas, w którym pozostawia innych.

Urodzona w Andaluzji intelektualistka obwinia rozum filozoficzny za dominację dziejów, wyparcie z nich tajemnicy i Boga. Nazywa ten proces „kryminalizacją historii”, ale jego podłożem jest dehumanizacja, spłaszczenie historii do tego, co policzalne i osadzenie człowieka w jednym wymiarze jego usprawiedliwienia, którym jest zyskowność. Dostarcza jej on właścicielom środków produkcji, chociaż zdaje sobie sprawę z tego, że podobna rola dotyczy go tylko tak długo, jak długo on się na nią godzi. Większość ludzi po prostu chce żyć, ale przy tym nie jest dla nich ważne, czym żyć. Ich krzyk i troska nie sięgają poza horyzont egzystencji, którą już wiodą, dzięki bezwładowi. Takiej postawie powieść przeciwstawia ludzi niecierpliwych, podobnych do Stega, ale również niepokodzonych z realiami towarzyszy jego dorastania na „Północy”, którymi byli młodociani przestępcy, mający na uwadze zmianę na gorsze jako odruch ich buntu. Tacy ludzie zakładają porzucenie czasu historycznego, mając to w planie lub po prostu z natury nie umiejąc włączyć się w jego nurt.

W przekonaniu Zambrano poznanie racjonalne zdobyło monopol przemocą. Świat stał się wrogi i walka z nim ma charakter etyczny. Europa straciła swą twarz, historia jest teraz jej maską, a więc kłamstwem o Europie, która nie mogła się zmienić, lecz po prostu przestała istnieć.

Genialność Europy zdawała się polegać w dużym stopniu na zdolności do zrzeczenia się rzeczywistości. Obecnie jednak ma jej ona tak mało, że traktuje jako realność pierwszy lepszy pozór, który staje na jej drodze, tracąc rzetelność, gubiąc prawdę. Ponieważ znalezienie prawdy wymaga poszukiwań, a te podjąć może tylko umysł wiedzący jak uniknąć przytłaczającego wpływu faktów, przeraźliwej doraźności⁸.

⁸ Taż, *Agonia Europy*, s. 28.